

EAST 2008

W miarę czasu postaram cię coś opisywać 😊

Wyjazd planowałem od zimy. Ostatnio jak byłem na FJR w Tunezji <http://7greg.dyndns.org/2006South/index.html> trochę się będę promował 😊 i nie mogłem pojeździć po piachach oraz na RS na Ukrainie i mi wszystkie plomby wypadły stwierdziłem, że dalej tak być nie może.

W tym celu zanabyłem zimą AT. Dlaczego AT, to chyba proste. Bo jest najlepsza :-)

Troszkę przy niej podłubałem przez zimę, olej i takie tam i stwierdziłem, że chyba moto jest przygotowane.

Pierwotny plan był inny, kierunek Kazachstan, ale osoba z którą miałem jechać zmieniła plany i zostałem sam. Jako, że zwykle sam podróżuję lub z moją lepszą połową nie przejąłem się tym specjalnie, bo i po co. Postanowiłem tylko troszkę skrócić plan do objechania Morza Czarnego.

Miesiąc przed wyjazdem Zbychu zaproponował "to może pojedę z tobą" 🗨️ OK, czemu nie. I tak byliśmy we dwójkę.

Ponieważ część wyjazdu była zaplanowana (Gruzja) więc postanowiliśmy ją rozszerzyć na kraje arabskie. Tak też uczyniliśmy.

Wszystkie kraje, poza Ukrainą, które odwiedzałem były dla mnie nowością. Pytałem, więc ludzi (dzięki Andrzej) jak tam jest, co potrzeba, czego nie, czytałem opisy, relacje itp. Ogólnie coś wiedziałem, ale najważniejsza i tak jest przygoda i nieprzewidywalność.

Wizy.

Do Ukrainy i Gruzji nie są wymagane.

Rosja - ambasada koszt 150 zł i cała masa problemów (najlepiej ją uzyskać przez biuro turystyczne)

Armenia - zakup na granicy. Koszt 15000 AMD (coś koło 30\$)

Turcja - na granicy. Koszt 15\$

Syria - ambasada w Warszawie. Czas 2 dni, koszt 40 E

Jordania - na granicy. Koszt 10 JD (około 15\$)

Liban - ambasada w Warszawie. Czas 1 dzień, koszt 35\$

Bułgaria, Rumunia, Węgry, Słowacja nie są wymagane

Do tego oczywiście dochodzą koszty na granicach, ale o tym kiedy indziej.

Kufry i stelaże pozakładałem dzień przed wyjazdem licząc, że wszystko będzie ok, i tak też było 😊

Długo zastanawiałem się nad oponami. Padło na TKC80. Dlaczego? - dlatego 😊

Ponieważ wyjazd był przewidziany na 13tys km, a ogólne opinie o wytrzymałości TKC80 to 10tys postanowiłem do Rosji dojechać na szosówkach, które były kupione razem z motocyklem.

Do kufrów zapakowałem worek części zapasowych, łożyska, pompa, regulator, narzędzia, moduł (dzięki Podos), trochę żarcia, trochę ciuchów i stwierdziłem, że będzie OK.

Do navi powgrywałem mapy (Garmin i tak jest do dupy. TT lepszy ale nie ma map na wschód) zapakowałem aparat, telefon, ładowarki itp.

Ogólnie rzecz biorąc dzień przed wyjazdem byliśmy spakowani, gotowi i zwarci.

Następnego dnia wyjechaliśmy.....

UKRAINA

Rano ostatnie buziaki z lepszymi połowami i w drogę. Jazda przez Polskę wyglądała dosyć monotonnie. Pizda ogień, tankowanie, pizda ogień. W Warszawie zajechaliśmy do Pawła (kumpel z którym byłem w Norwegii) na drugie śniadania. Pojechaliśmy do pierogarni na pierogi z pieca. Były niezłe, jeżeli tak można powiedzieć o pierogach :-)

Potem ogień do Lublina i do Dorohuska. Polska granica poszła migiem. Na ukraińskiej zaczęły się papierki. Jako, że postanowiłem, że na tym wyjeździe na granicach nie będę dawał żadnej kasiory dla "pomagierów" (w końcu nie po to chodziłem do szkoły, żeby jakiś lokales mnie kroił 😊) zacząłem wir biurokracji. Na ukraińskiej granicy i tak nie było tego wiele. Karta migracyjna, policja, celnicy, a co jest w kufrach, a kuda wy?, a skolko maszina stoit? itp. 30 min później byliśmy na Ukrainie. Postanowiliśmy jechać do zmroku. Nocleg wypadł w okolicach Żytomira w jakimś przydrożnym motelu. Na parkingu moc tiorowców dyskutujących o drogach, przewożonych towarach, winietach, celnikach i diabli wiedzą o czym jeszcze. Załapaliśmy się na ostatni pokój z małżeńskim łóżem. No cóż, daliśmy radę :-) choć dupa bolała mnie tego dnia, ale od czegoś innego 😊

Następnego dnia celem był już Krym. Kiedyś mój znajomy pracujący w Kijowie powiedział mi, że Krym to Majorka czy Hiszpania wschodu. Że cała ruska wierchuszka tam jeździ i same pozytywy. Więc nie mogło się obyć bez odwiedzenia tego miejsca.

Dojechaliśmy do początku Krymu. Odległości robią swoje 😊 Trafiliśmy do ormiańskiego motelu w którym byliśmy jedynymi osobami, które tam spały. Warunki były zupełnie przyzwoite a do ciekawostek można zaliczyć miękkie deski na kłopie. Jakieś takie pompowane czy co 🗉 Wieczorem trafiliśmy na imprezę w jednej z "kabin" gdzie piliśmy z jakimiś lokalnymi mafiozami. Opowiadali nam, że byli w Polsce w Łodzi. A w Łodzi to jest mafia. Nie wiem czemu takie mieli zdanie, może niech Łodzianie się wypowiedzą :-)

Wracając do "kabin". W owym "gotelu" były 2 pokoje 2 osobowe do kimania i z 10 innych pomieszczeń gdzie stał stół i krzesła. Pytam się co to jest? Właściciel mówi że to do jedzenia. Mówię mu, że u nas to jest jedna duża sala z kilkoma stolikami i tam wszyscy jedzą. On mówi, że u Ormian tak się jada. I faktycznie, około godziny 20 zaczęły się

zjeżdżać samochody, a goście pakowali się do zarezerwowanych budek. W jednej z takich budek spędziliśmy wieczór :-)



Generalnie kobieta siedząca koło mnie była otwarta na wszelkie propozycje, więc jakby ktoś, kiedyś przejeżdżał to bez owijania w bawełnę 😊

Następnego dnia walimy już do tej "Hiszpanii". Raz ciach i w okolicach obiadu lądujemy koło Jałty. Po drodze małe konsultacje z policją. Na moje 20 hrywien potężnie komandir się zaśmiał. Mówi "dawać 20\$ i nie dyskutować". Daliśmy i pojechaliśmy dalej.

Postanawiamy gdzieś się zamelinować i następnego dnia pojeździć bez kufrów po Krymie. Wylądowaliśmy na wschód od Jałty w jakiejś turystycznej miejscowości. Kwatera prywatna bardzo przyzwoita, tylko gość który nas witał (60lat + rajtuzy) wzbudził nasze lekkie obawy. Zupełnie niepotrzebnie, okazał się byłym oficerem KGB, który trochę nam poopowiadał o tym i tamtym.

Tego dnia poszliśmy na słynną czarną plażę gdzie konsumowaliśmy lokalny browar.

Następnego ranka wsiedliśmy na motocykle bez kuferków z zamiarem eksploracji Krymu. Pierw musieliśmy zmienić tylko opony z naszych "dojazdówek" na TKC80. Wulkanizację znaleźliśmy dopiero w Jałcie.

Tylne koła poszły raz, dwa. Większe problemy pojawiły się z moim 21 calowym przodem. Nie wchodził na żadną maszynę. Kolo zabrał się do roboty łyżkami. Serce mi się krajało

jak patrzyłem na to co on robi. Nie będę tu szczegółowo opisywał, ale po godzinie miałem przód gotowy. W GSie poszło szybko bo przód też ma 17cali.

Ruszyliśmy zwiedzać kurorty, bo to co widziałem do tej pory lekko mnie niepokoiło. Myślę sobie, że gdzieś ta Majorka musi być. Wpakowaliśmy się w samo centrum Jałty i innych miejscowości turystycznych. Niestety z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że zostałem nabity w butelkę. Żadnej Majorki, ba nawet Hiszpanii nie znalazłem. Znalazłem tylko zwykły Ukraiński syf tyle, że w większym czasem buraczanym wydaniu.

Kupa aut i ludzi, straszne korki. Taka tylko różnica, że na Majorce korki robią czyste Mercedesy a turyści to fajne laski. Tu korki tworzyły Kamazy i lady z kurami, a ludzie to babiny w chustkach i ruskie dresiarze. Ogólnie po 2 godzinach miałem dość.

Postanowiliśmy coś zjeść. Wpadliśmy do jakiejś restauracji, nie powiem, było smacznie i przyjemnie.



I tu odnalazłem Hiszpanię. W rachunku. Zapłaciliśmy prawie 2 stówy za obiad.

Na Ukrainie! Miałem naprawdę dość.

Spyliliśmy gdzieś na pustkowie, do lasu.

Znaleźliśmy fajne traski, szutry, dziurawe drogi itp.

Generalnie polecam drogę z Bakczysaraju do Jałty. Kupa zakrętów i przejazd przez przełęcz z naprawdę niezłymi widokami.



Potem chcieliśmy jeszcze z Jałty pojechać do Alushty żółtą drogą przy górach.

I tu pierwsza niespodzianka. 15km od Jałty napotkaliśmy na bramę do lasu. Pani w chuście pyta czy mamy przepustki. Jakie przepustki ? pytam. No normalne. To jest Krymskiy zapovidnyk i trzeba mieć przepustkę. Trochę jeszcze podyskutowałem i niestety się wycofaliśmy.

Potem nasz rajtuzowy KGBowiec powiedział, że to miejsce gdzie był podpisywany słynny pakt i tam mają swoje posiadłości najbogatsi i najznamienitsi i niestety tam nie wjedziemy. Może gdybym o tym wiedział wcześniej coś bym wykombinował. Nie wiem. Ktoś tam wjechał 🚗 Chwalić się 😊

Wróciliśmy do naszego rajtuziarza, gdzie znowu piwkowaliśmy i miło spędziliśmy czas. rano wyjazd. Cel - Kosa Arabatska. To taki 100km odcinek wąskiej plaży pomiędzy wodami. Coś jak nasz Hel 😊

Na trasie znaleźliśmy spanko, kufry won i jazda na plażę. Było niezłe, naprawdę 😊 Jazda po plaży, błotach, trawach i kąpiel w ciepłutkiej wodzie.





Po tej całej Majorce troszkę się zregenerowałem.

Następnego dnia tniemy do Kerczu. To port z którego płyniemy do Rosji.

Niestety na pierwszy prom się nie załapujemy ale drugim już się udało. Granica w miarę sprawnie. Natomiast w kasach panienka tak się zachowuje jakby każdy musiał mówić w jej języku. Ponieważ nie wszystko zrozumiałem mówię że "nie mnożka gadam po rusku". Ona na to, że ona też. Bo ona mówi po ukraińsku. Ech, szkoda gadać.

Naprawdę Ukraina niczym mnie nie zachwyciła, zainspirowała czy tam co innego. Nie będę tu się znęcał nad nimi bo wiem, że niektórym się tam podoba. Są to tylko moje prywatne i subiektywne odczucia.

Po godzinie płynięcia promem byliśmy w Rosji.

ROSJA

Po zejściu z promu wiedzieliśmy, że do Soczi nie dojedziemy. Było już po 17, a jeszcze musieliśmy przesunąć godzinę do przodu. W miarę szybka odprawa, ubezpieczenie, czasowy import motocykli, policja, celnicy i już tniemy po rosyjskich drogach. Zupełnie przyzwoitych, żeby nie powiedzieć bardzo dobrych 😊

5 km dalej kontrola. Gruby policjant aż czekał, żeby udowodnić nam, że czegoś nie mamy i będziemy musieli zapłacić kasiorę. Paszport, dowód rejestracyjny, prawo jazdy, międzynarodowe prawo jazdy, ubezpieczenie, pozwolenia na wjazd motocykla itp. Wszystko mamy i szczerzymy zęby mając go w dupie. Musiał nas puścić choć zadowolony nie był :-)

Lecimy dalej. Wjeżdżamy do Noworosyjska. Super miasto, ładnie utrzymane a dookoła super widoki. Na prawo Morze Czarne i plaże na lewo naprawdę wysokie góry, na ścianach których widać wyjeżdżone trasy. Widać, że tam też mają miłośników błota. Generalnie bardzo fajne miasto, ale nie dla nas. Musimy jechać dalej. Kilka kilometrów i stop. Jedziemy 100km/h na 70km/h.

Poliaki 🇵🇱 pyta. Poliaki, mówimy. No za szybko i takie tam. Wyciąga te swoje arkusze i stara się być bardzo groźny. Wiadomo o co chodzi. Postanawiam chwilę "powalczyć" o stawkę. Klękam przed samochodem, gdzie za kierownicą siedzi jego kolega i wrzeszczy; "kamandir, dawaj, strielaj. u nas nie mnożka diengów" Gapi się na mnie zdziwiony ale widzę lekki uśmiech. Wychodzi i mówi; "te poliak, wódka jest 🇵🇱" Daliśmy mu 0,5 Nemirofa za 12 zł i pojechaliśmy dalej.

Zrobiło się już ciemno i czas było coś do spanka szukać. Byliśmy w Gelendziku. Pierwszy motel i wygląda ok. Cena 40\$ ale motocykle muszą stać na ulicy. Rezygnujemy. Jedziemy do centrum. Okazało się, że to spore miasto o charakterze turystycznym. Plaże, pijane dresy, pełno lasek itp. Są też kwatery prywatne. Na pierwszej kobita mnie zobaczyła w stroju moto to wywaliła gały i trzasnęła drzwiami. Potem nikt nie chciał nas na jedną noc. No trudno pojechaliśmy dalej. Po godzinie restauracja z jakimś motelem. "Wy kto 🇵🇱" pyta

pani. "Ruskie🤔" Ja na to, że poliaci. Nie ma miejsc, tylko dla ruskich. Myślę co za cholera. Podjeżdża patrol. Pytam o hotel. Za 50 km jest wiocha i tam jest. Ok, walimy dalej.

Dojeżdżamy koło północy. Super miejsce z fajnym barem, basenem i piwkiem. Płacimy 50\$ i już mamy miejscówkę.

Pijemy po 2 piwka, oglądamy jakiś mecz i do wyra. Rano wstajemy, papu i kierunek Soczi. Droga super, fajne zakręty, góry i lasy. Jedyny minus to masa samochodów. Jedziemy więc prawie cały czas środkiem i koło 13 jesteśmy w Soczi.

U ruskich co ciekawe cała masa samochodów z UK. Widać mają pozwolenie na jazdę z "inną" kierownicą 😊Dużo też luksusowych jeepów. Najmodniejszym jest Toyota Land Cruiser Prado. Wygląda jak model sprzed lat ale to same nówki. Generalnie widać, że w Rosji mieszkają bogaci ludzie.

Ostatni, popularny kawał w Rosji.

Dwóch rusków jedzie do Paryża. Przewodniczka oprowadza po najlepszych miejscach a na koniec zabiera ich do Wersalu. Oglądają ten Wersal a po wyjściu przewodniczka pyta. I jak 🤔No, skromnie ale czysto 🇫🇷

Szukamy portu morskiego gdzie wstępnie jestem umówiony z kapitanem promu do Poti w Gruzji. Przed wyjazdem się dowiedziałem, że to tylko prom pasażerski i nie zabiera żadnych pojazdów. Pomyślałem, że Polak potrafi i się dogadam na miejscu. Kłopot z tymi promami jest taki, że nie prowadzą sprzedaży i rezerwacji przez internet ani telefon. Bilety są sprzedawane w dniu kiedy odpływa prom. A kiedy odpływa 🤔; Kiedy przyplynie to i odpłynie. I taka z nimi rozmowa.

Znajduję kasę od promu Soczi-Poti. Zamknięta i wisi kartka, że wszystkie bilety sprzedane. Lekko się zaniepokoiłem. Odnajduję "statek" i już nawet nie szukałem kapitana. Na trasie Soczi - Poti kursuje taki trochę większy kajak na pokład którego ludzie schodzą po prawie pionowym trapie i do środka wchodzi przez coś co jest wielkości dziury w budzie dla psa. Żadnej opcji na wpakowanie motocykla.

Czas uruchomić plan B. Prom z Soczi do Trabzonu w Turcji. Jest poniedziałek a wcześniej wiedziałem, że prom kursuje we wtorki i piątki. No chyba, że się spóźni 😊 Odnajduję kasę

do Turcji i pani mówi, że prom płynie dziś o 16. Jak to dziś? dziś nie wtorek. To prom z piątku. 3 dni spóźnienia. Patrząc na zegarek 14. Super, czas na papu odpoczynek i na prom.



Kupujemy bilety. 300\$ osoba + moto. Pytam o której mamy być na odprawie. Pani mówi "przyjdźcie o 15 do mnie to powiem o której prom odpływa". Jak to o której, mówię. O 16. A pani, że niekoniecznie bo może później albo jutro. Ostatecznie pani powiedziała, że o 18. Godzinkę wcześniej się melduję przed bramą i naciskam ciecica, że już czas.



Cieć był bardzo ważny i gada, że czas to będzie wtedy kiedy on o tym powie. O 18 się irytuję bo myślę, że prom popłynie bez nas. Ale inni czekają też więc myślę, że wszystkich nie zostawi. O 18.30 cieć otwiera bramę i nas wpuszcza. Policja, celnicy, papierki, a po co, a na co, karta migracyjna itp. O 19.30 podjeżdżamy do promu.



Pytam celnika o której prom odpływa? Jak wszyscy wejdą to odpłyne. Ot taka demokracja. Ludzie decydują o wypłynięciu a nie jakiś tam rozkład. Na promie nawalona obsługa próbuje mocować motocykle. Robimy to sami 😊



Wypłynęliśmy o 20.30.

Kajuta to coś czego nie da się opisać. Bez kibla, prysznic i klimy. W środku temperatura ze 40 stopni. Idę do jakiegoś menago i pytam gdzie mój prysznic, bo widziałem, że inne kabiny go mają. Gość mówi, że to kabiny DeLux. Że też pani w Soczi nie spytała czy chcemy DeLux. No cóż, poszedłem po prysznic gdzie się kąpałem z podejrzanymi typami. Idziemy do restauracji. A tu jak za PRL-u. Bar a w nim pusto. Mówimy - 2 piwka. Nie prowadzimy alkoholu. Turcy nie piją alkoholu, przynajmniej oficjalnie, i nic tu nie kupimy.

Sięgamy do naszych zapasów gdzie walimy butlę Daniela i wcinamy pasztet. Pozostali grają w karty i warcaby. Dziwni ludzie 😊

Gdy butla się skończyła, poszliśmy spać. Spaliśmy przy otwartych drzwiach, narażając się na morderstwo ze strony tubylców. O 7 rano dobiliśmy do Turcji.

Szybka jazda z wizami, policja, celnicy. Niestety czasowy wvóz pojazdu był dłuższym tematem. Wszyscy mają czas, piją te swoje zasrane herbatki, ktoś wchodzi, przerwa, buziaki, gadulec. Trochę się irytujemy. Pan mówi, że nie nerwowo. Zdążymy. Jeszcze na koniec jakaś superważna pieczęć od superważnego urzędasia i możemy jechać.

Do granicy z Gruzją w Sarpie mamy ze 200km. Droga elegancka, 2 pasy, lecimy bez żadnych problemów.

Po 2 godzinkach jazdy meldujemy się na granicy gruzińskiej.



GRUZJA

Granicę gruzińską pokonujemy w miarę sprawnie. Turcy się cieszą po wygranym meczu a po stronie gruzińskiej panowie w czerwonych koszulach wydają się bardziej przyjaźni.

Na granicy ogólnie panuje straszny tłok. Do przejścia jest tylko jeden wąski pas po którym jadą wszyscy. Motocykle, samochody i tiry. Zasada jest taka; stawiasz pojazd w kolejce i latasz po okienkach. My ją nieco zmieniamy. Pchamy się między ścianą i tirami do okienek i tam wszystko załatwiamy. Trochę kolejkowicze pokrzykują ale z uśmiechem na ustach mamy ich w dupie i robimy swoje.

Gruzini wklejają karteczkę z nr rejestracyjnym do paszportu i stawiają na nim pieczęć, że pojazd wjechał. Tak przynajmniej sędzę 🇬🇪 Potem w wielkiej księdze zapisują wszystkie dane używając liter całkowicie mi nieznanych. To coś jak chiński tylko bardziej okrągły 😊

Wymieniamy kasę i po godzinie, już w Gruzji popijamy piwko.

Czasu nie ma więc tniemy dalej. Batumi ach Batumi jak śpiewały Filipinki okazało się zwykłym komunistycznym miastem. Nie było tam nawet fajnej plaży. Zaprzyjaźniony Gruzin z którym jechaliśmy z Rosji rzekł, że fajne plaże są kawałek dalej w Kobuleti.

Pojechaliśmy i nawet zażyłem kąpieli. Na temat samej plaży nie będę pisał 😊 Generalnie regeneracja nastąpiła. Zjedliśmy co nieco, wypiliśmy kolejne piwko i pojechaliśmy dalej.

Staraliśmy się trzymać żółtych dróg, przecież byłem Afryczką 😊 A trzeba wiedzieć, że drogi czerwone w Gruzji to jak u nas żółte, żółte jak u nas wsiowe, cienkie czerwone to hmmm, górskie szlaki w Beskidach, a czerwonych przerywanych po prostu nie ma 🇬🇪

Lecimy przez Ozurgeti żółtą pokręconą i dziurawą drogą do Kutaisi. Już wiem czemu tu jest lepszy motocykl enduro niż szosowy.

Dojeżdżamy wieczorkiem do Kutaisi i żądamy od taksówkarza aby nas zawiózł do najlepszego hotelu. Płacimy 5 Lari czy co oni tam mają i dojeżdżamy. Fajna brama

wjazdowa, dziedziniec z kamienia, jakaś fontanna marmurowa na środku. Muza gra w restauracji i dwupiętrowy hotel.

Generalnie bardzo przyjemnie. Cena też, coś koło 40\$. Tylko pani w recepcji nie udało mi się rozweselić. Chodziła jakaś taka poważna i smutna. A młoda była. I nic. Nawet potem gdy byłem już nawalony, więc poziom moich wypowiedzi bardzo wzrósł, pani była niewzruszona.

Może mąż ją lał 🤔 Jak mawiają w krajach arabskich "leż żonę swą co rano, a już ona będzie wiedziała za co".

Tak czy siak rozbebeszyliśmy się w pokojach i zeszliśmy do restauracji na rozpoznanie. Trafiliśmy na wesele. Nie będę szczegółowo się rozpisywał ale było "grubo" 🍷 Nie pozwolono nam wejść do środka, ale za to sporo ludzi wychodziło do nas.

Okolo północy nawet orkiestra ze środka specjalnie dla nas zagrała jakąś pieśń patriotyczną.

Najbardziej przyjacielski okazał się ochroniarz, który był tam jakimś lokalnym wodzem.



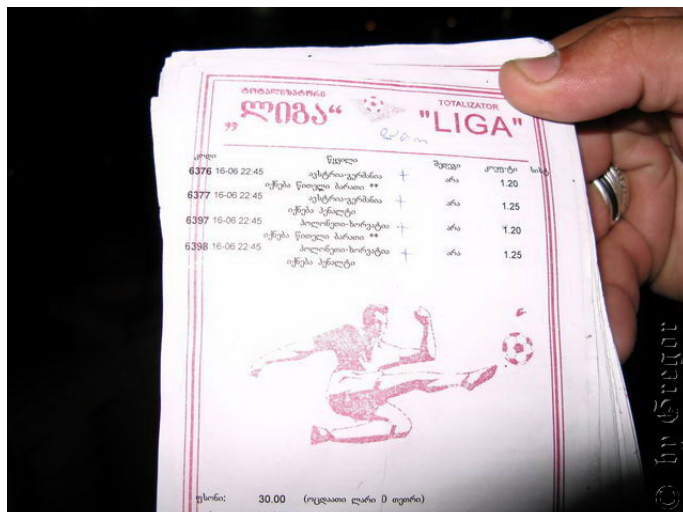
Nigdzie nie musieliśmy chodzić, za to wszystko przychodziło do nas.



Był nawet zagorzały fan piłki nożnej...



który tłumaczył nam zawilosci gry w grupach. Na foto grupa w której grali Polacy.



Uwierzyłem mu na słowo.

Następnego dnia postanowiliśmy eksplorować gruzińskie dziurawe drogi. Wymyśliłem sobie, że pojedziemy żółtą drogą do Lentekhi a potem czerwoną przerywaną do miejscowości Mestia. Jak mawiają lokalesi tam w Gruzji jest najpiękniej. Potem powrót, który jeszcze nie był opracowany, w kierunku Tbilisi.

O jak bardzo się myliłem w swoich planach wiem tylko ja 😊 W Lentekhi po przejechaniu 80 km byliśmy o 14. Gruzja ma najgorsze drogi na świecie. Żeby to chociaż był szuter albo błoto. Z jakąś prędkością można by jechać. To natomiast był asfalt z przeogromnymi dziurami. Dziur było zdecydowanie więcej niż asfaltu. Musieliśmy je omijać inaczej pewnie wrócilibyśmy na kwadratowych kołach.



Wspomnę jeszcze o krowach chowających się w całkowicie ciemnych tunelach.



W Lentekhi pytamy się gdzie nasza przerywana czerwona droga. Gość mówi, że do Mesti to trzeba się wrócić do Kutaisi i tam inną żółtą atakować. Mówię, że chyba "pan nie zrozumiał". Tu jest mapa i chcemy jechać tędy. A szto eta 🗺️ pyta pokazując na czerwonej kreskę. Eta daraga mówię. Czerez gory 🗺️ Da, potakuję.

Podobno jego tata kiedyś tędy jechał. Na przełęczy jest 3559m i teraz się nie da. Mówię mu, że my z Polski a słów "nie da się" nie znamy.

Ruszamy. Najpierw wyjazd z miejscowości...



zupełnie ok. Kilka stromych podjazdów - daliśmy radę. Ostatnie gospodarstwa w górach, gdzie dzieci były ostatni raz na dole chyba przy porodzie. Jednym słowem - egzotyka.

Droga się kończy. Znaczą można jechać na przód (kiedyś tam wrócę na quadzie i zdobędę tę przełęcz) ale tylko na czuja. Na gpsie ujechaliśmy ze 4km. Do przełęczy ze 20km. No i jeszcze zjazd. Godzina 16. A do Tbilisi ze 300km.

Podajemy smutną decyzję o odwrocie. Do Kutaisi dojeżdżamy około 20. Ostatnie 200km to Tbilisi walimy jakąś lepszą, mało dziurawą drogą.

W centrum Tbilisi znajdujemy nocleg. 50\$ za noc. Jak na stolicę cena dobra. Jeszcze mała wizyta w okolicy, gdzie Zbychu w spożywczaaku wypija dwa szybkie kielonki wody. Ot taka forma poczęstunku. Z lekka zjebani po całym dniu przygód koło północy walimy się spać.

Rano, bez kuferków, w dobrych nastrojach zjadamy śniadanko i ciśniemy Drogą Wojenną do Kazbegi.

Pogoda śliczna, droga również. To chyba najlepsza droga w Gruzji.



Widoki prześliczne.



Po drodze spotykamy rodaków, którym to rozwalił się KTM. Uszczelka pod głowicą.

Coś tam wspólnie radzimy, niestety wieczorem na małe spotkanie nie mieli czasu. Mieli już ustalone, że KTM na busie pojedzie do Batumi a stamtąd promem do Odessy.

Troszkę im opowiadam o możliwościach i nieprzewidywalności ukraińskich promów, ale co mają zrobić. Potem okazało się, że miałem sporo racji.



W Kazbegi muszę się zatankować. Na szanowanej stacji pracuje dziadzia, który ma dystrybutor z dwoma węzłami. Z lewej super 98 z prawej normal 95.

Grzecznie prosimy o 95. Dziadzie, że da da i haraszto i z miną mędrca i mi i Zbychowi i tak włał super. Na nic słowa protestu. To jest haroszaja benzina i paka.





Wjeżdżamy na górę do kościoła. Żaden opis tego nie odda. Miałaś rację Andrzej, po prostu pięknie.



Znajdujemy jakieś dziury i wracamy do Tbilisi. Napotykamy powszechną technikę budowania mostów w Gruzji.

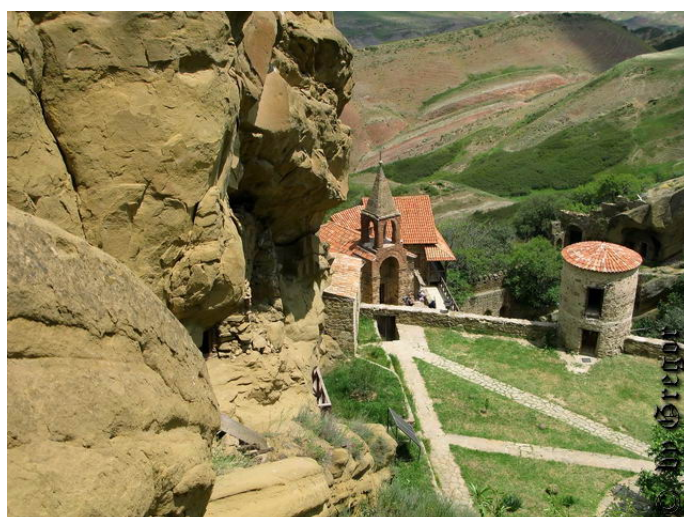


Następnego dnia obieramy kierunek na Armenię. Po drodze w planie jest Monastyr Dejwida Gareji.

To wykuta w skale świątynia. Może nie super okazała ale myślę, że warta obejrzenia. Droga do niej prowadzi 15 kilometrowym szutrem więc było przyjemnie.



Na miejscu widoki i sam monastyr są niezapomniane.



Wchodzę trochę na górkę aby rozkoszować się widokami. Pięknie. Czas wracać do ludzi. Szutróweczką do żółtej i po 2 godzinach dojeżdżamy do granicy armeńskiej.

ARMENIA

Na granicy armeńskiej byliśmy chyba najbardziej olewani ze wszystkich granic. Pierw wiza. Czekamy do okienka, nikogo nie ma, potem przychodzi ważniak, czekamy, kawka, herbatka, gadulec i takie tam. W końcu płacimy kasę i gość wkleja wizę. Potem idziemy do jakiegoś szeryfa dajemy mu paszporty, a on każe czekać. Jak długo? pytamy. Czekać i nie gadać. Ciepło jak cholera, z lekka się rozbieramy coś tam pijemy i czekamy. Po pół godzinie stwierdzamy, że czas do akcji. Zerkamy do pokoju, pusty, paszporty leżą. Gdzie szeryf? Chodzimy po innych okienkach i pytamy. Okazało się, że szeryf to naczelnik i nikt mu nie podskoczy. Prosimy okienkowych o pomoc, a oni, że tylko naczelnik i basta.

W końcu go znajdujemy, siedzi z kimś, gada i pije herbatkę 🍵👤 Ponaglamy go w ostry sposób, niestety bez rezultatu. Pytam się znacząco - w czym problem 🤔 Odpowiada, że jest problem i będziemy dużo płacić.

Hmmm, myślę, że ktoś chce nas tu po prostu w huja zrobić i tyle. Piszę smsa do kumpla, który był w Armenii w maju, o co kaman? Dostaję wiadomość, że oprócz wizeni jeszcze trzeba zapłacić podatek drogowy, jakieś ubezpieczenie i import pojazdu. Coś ponad 100\$. Dużo myślę no ale naciągnąć już się nie dam. 😊 Mija kolejne 30min. Chcę zapłacić już te 100\$ i jechać, a nie bez sensu czekać. Przystawiamy znowu zegarki. Między Polską a Armenią jest 3 godziny różnicy. Dzień jakoś szybko spłył. Idę do naczelnika i mówię, do roboty, nie ma czasu. Zirytował się, ja zresztą też. Mówię, że jak nie ma komu robić to ja zrobię. Coś tam gada i każe czekać. Siadamy i znowu czekamy.

Podjeżdżają dwa mercedesy. Wsiadają jakieś karki i ważniaki. Naczelnik podbiega, odbiera od nich jakieś paszporty, lata, stempluje, wykrzykuje. Są równi i równiejsi, myślę. Ale karki nam nie straszne 🇵🇸 Widzę, że przechodzą powoli do kawkowania, myślę zaatakuję znowu. I w tym momencie, ktoś woła. Motocykliści do pokoju. Myślę, albo zastrzelą albo w końcu ktoś się wzięł do roboty. Wchodzimy do pokoju a tam..... jeden z ważniaków z Merca. Okazał się być szefem wszystkich szefów. Był chyba ze Szczecina 😊 Oddaje paszporty i każe jechać. Ale jak to, ale co to, myślę. Biorę paszporty i odchodzimy. Zbychu mówi, a ubezpieczenie, podatek? Mówię, szef kazał to jedziemy. Wsiadamy i odjeżdżamy. Na wyjeździe z granicy ostatnia kontrola. Policjant pyta, a dorożnyj? To

chyba ubezpieczenie. Mówię, że Szef kazał jechać i dla motocykli nie nada. Aha, jak kazał to jechać. I tym sposobem wjechaliśmy do Armenii za cenę wizy.

Rzut oka na mapę i planujemy nocleg w miejscowości Vanadzor.

Droga i widoki jakie nam się ukazały nie mają sobie równych. Co tam Gruzja, co tam Chorwacja czy Albania. Po prostu niesamowite.

Wjazd z Gruzji do Armenii przez Sadakhlo jest po prostu odlotowy. Polecam ten rejon jako armeński priorytet.

W centrum Vanadzora znajdujemy wielgachny hotel z czynnym jednym piętrem. Reszta jest nieużywana. W całym hotelu były może z 3 pokoje zajęte.

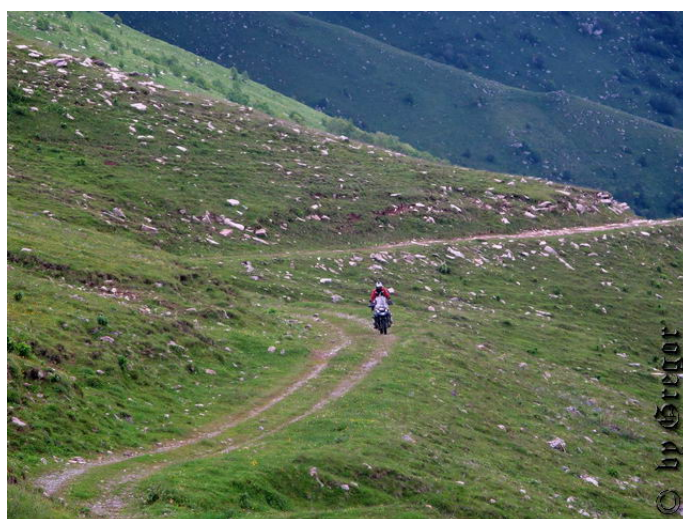
Pani recepcjonistka, lat 60 śpi w jakimś pokoju. Budzę ją i mówię, że chcę pokój. Da, da, haraszto. Pyta czy ma być z łazienką, da, czy z telewizorem, da, czy z ciepłą wodą, da. Ok, to lux pokój za 30\$. Bierzemy go na dwa dni. A co, stać nas, bogatym wszystko wolno. Pytam o restaurację, pani kieruje mnie do lokalnego spożywcza i doradza, że ugotujemy i zjemy sobie w pokoju. No cóż, co kraj to obyczaj.

Idziemy w kimę. Następnego dnia chcę zaliczyć jakieś góry i jezioro Sevan. To chyba jedyny park krajobrazowy w tym pięknym kraju.

Rano kuszamy w nomierze i wypadamy na szlak. Dość szybko odnajduję cienką czerwoną drogę (tym razem już nie przerywaną) z Margahovit do Meghradzor. Na mapie zachęcająco wyglądające cyfry 3101m. Pytam lokalesów jak do Meghradzoru? No... nada jechać dalej, żółtą, dookoła i takie tam. Tłumaczę, że my przez góry. Przez góry? Ale po co? Po co, po co? Po to! Jak jechać? Coś tam tłumaczy, że ciężko, że wczoraj padało itp. Odnajdujemy ścieżkę i ciśniemy.

Po prostu rewelacja, nie będę się tu rozplęwał tylko nakazuję zapakować dupy na motocykle i jechać.





Po dwóch godzinkach z małymi przygodami jesteśmy na górze.



Napotykamy na szczycie chałupę z której wylazą ludzie, obok latają owce i krowy, i patrzą na nas jak na prawdziwych kosmitów. Nie wiem jak oni tam żyją? Pewnie szczęśliwie.

Chwila odpoczynku i lecimy w dół.



Zjazd był dłuższy ale mniej stromy. Na końcu napotykamy na rzekę i postanawiamy troszkę się pomoczyć.

Wiem, wiem Rambo. Dla tej głębokości nawet byś motocykla nie odpalał 🤖



Przejechałem raz, a potem GS na środku zdechł i milczy. No cóż, wlałem do wody i go wyciągamy.

Nie chce palić, potem prychna, dymi, co za motór? myślę.

Postanowiłem, że w czasie kiedy BMW będzie dochodziło do siebie pokręcę się jeszcze po wodzie 🤖

GS doszedł do żywych i Zbychu jeszcze ze 2 razy przejechał.

Zrobiła się pora obiadowa, więc szukamy jakiegoś sklepu. Jest i to nawet duży. Jakiś supermarket. Wchodzę kupuję co tam trzeba. Wychodzę...GS na centralce a Zbychu mówi źle. Woda w oleju. Patrzę przez okienko kontrolne i faktycznie. "Mleko" w oleju. Podobny temat miał KTM w Gruzji. Uszczelka pod głowicą i papa.

Zbychu mi uświadamia, że GS jest chłodzony powietrzem. No tak, dupa ze mnie. Oglądam tę maszynę z lewa, prawa dołu i góry. No nic. Żadnych wycieków, wcieków, pęknięć itp.

Dochodzę do wniosku, mam nadzieję że słusznego, że podczas "nurkowania" woda się dostała do silnika. Tylko którędy? Dedukuję, że przez korek oleju. U Zbycha jest na kluczyk, więc może są tam jakieś nieszczelności.

Wnioskuję, że pewno kropla, dwie czy ileś tam się dostało i zabieliło olej. Decyduję, jedziemy dalej. Po 50km te parę kropel musi odparować a olej wróci do normy. Każę obserwować temperaturę silnika i czy silnik aby nie robi się słabszy. Moja teoria, nie wiem czy słuszna, ale zadziałała. po 50km olej wrócił do łask.

Kierujemy się, zamiast do domu, w kierunku jeziora Sevan. Dookoła jest 200 km. Lecimy stronę zachodnią na południe. Droga po prostu boska. Równy asfalt, piękne widoki i masa zakrętów. Zjeżdżamy trochę na plażę, pojeździć po piasku.





Druga strona jeziora ma gorszą drogę, ale ogólnie jest ok.

W świadomości mam, że kilka kilometrów obok, za górami, jest Azerbejdżan.

Przyjdzie czas i na niego 😊



Wracamy do hotelu, gdzie parkujemy na strzeżonym, koło recepcji 🚰



Następnego dnia w planie jest przelot, a właściwie początek przelotu przez Turcję do Syrii. Musimy się wrócić do Gruzji, bo między Armenią a Turcją stosunki, delikatnie mówiąc, nie są najlepsze.

W hotelu przy napojach pewien Ormianin opowiedział nam wiele ciekawych rzeczy, które zmieniły mój punkt widzenia na ten kraj. Jak i na Turcję.

Opowiadał o zasięgu terytorialnym, kiedyś zajmowała pół Turcji i Syrii, o tureckich czyszkach etnicznych, gdzie Turcy wymordowali 1,5 mln Ormian. Dowiedziałem się, że Armenia to najstarsze chrześcijańskie państwo na świecie. Polecam poczytać

<http://pl.wikipedia.org/wiki/Armenia>

wiele rzeczy w głowie się prostuje 🤖

Trochę to inne niż ta papka z TV.

No ale dość tej historii. Wracamy do Gruzji. Cofamy zegarek. I potem wjazd do Turcji. I znowu cofamy zegarek. Ale dzień się wydłużył 🤖

Uwaga dla jadących trasą Gruzja, Armenia lub odwrotnie 😊 Granica w Bawrze, mimo że na mapie jest to piękna gruba czerwona droga jest po prostu straszna. Samo przejście jak przejście. Ale po stronie gruzińskiej jest 20 km chyba najgorszej drogi w Gruzji, która to ma najgorsze drogi na świecie. Omijajcie to miejsce. Choć wielkiego wyboru nie ma.

Po południu dojeżdżamy do granicy Tureckiej w miejscowości Posof. Granica typowo wojskowa, druty, zasieki, może i pod prądem. Wojsko z karabinami itp.

Wyczuwa się, że granica Armeńska jest niedaleko i że coś jest na Rzeczy.

Po godzinie marudzenia jesteśmy w Turcji.

TURCJA

Turcja była traktowana przez nas jako kraj głównie tranzytowy. Nie mieliśmy już czasu na echy i achy. Niemniej jednak w Turcji byliśmy 😊

Po wjechaniu postanowiliśmy przejechać max ze 2 godzinki i szukać spanka. Niestety deszczobicie popsuło nasz plan i zjechaliśmy do jakiejś przydrożnej nory z napisem "hotel".

Turcja to chyba jedyny kraj gdzie nie ma żadnego problemu z wymianą waluty. Można ją po prostu wymieniać na stacjach benzynowych. Nie trzeba latać jak kot z pęcherzem za jakimiś bankami czy kantorami.

Następnego dnia wstajemy. Pogoda pochmurna ale nie pada. Cel to miejscowość Diyarbakir położona 100km do granicy syryjskiej. Do przejechania 600km gór na wysokości 1800-2200m npm. Temperatura spada do 5 stopni ale droga to rekompensuje. Widoki, zakręty i takie tam.

Na którejś stacji benzynowej spoglądam na moją oponę i już wiem, że do domu na niej nie dojadę. Nie wspomnę o swobodnej jeździe po dziurach i błotach. Moja opona nie ma jeszcze przejechanych 3 tys a już wcięło ją ponad połowę. Gruzja stała się rzeźnikiem opon.

Jakoś tak mam, że zawsze na wyjazdach muszę zmieniać opony. Co jest ze mną nie tak



Dojeżdżamy do Erzurum gdzie zapada decyzja, że coś trzeba wymyślić. Plan jest taki, że objedziemy jeszcze arabów i w drodze powrotnej w Turcji musimy coś mieć. Padło na Adanę. Syria, Jordania i Liban mają eleganckie asfalty, które niewiele rujną ogumienie. Turcja zamiast drogi to ma papier ścierny 🚗

Opony ma nam wystarczyć na arabskie pustynie i ich łagodne asfalty. Oczywiście do przejechania jeszcze zostało kilkaset kilometrów po Turcji.

Szybkie konsultacje z polską stroną odnośnie wysyłki opon z kraju uświadamiają nam, że koszt przesyłki lotniczej do Adany w cenie 700-900 zł za jedną oponę to drogo. Oczywiście dochodzi jeszcze koszt samej opony.

Znajduję w Erzurum jakiś serwis Michelina gdzie po kilkunastu minutach znajduje się człowiek mówiący jako tako po angielsku i w dodatku jest szefem tego przybytku. Tłumaczę nasze komplikacje i że potrzeba nam 2 sztuk TKC80. Chłop był bardzo przychylny, dzwoni po tej swojej miejscowości do warsztatów i szuka. Nikt nie ma motocyklowych a jak już coś się znalazło to jakaś padaka od czopka. Pytam go o Continentala, na co uzyskuję odpowiedź, że to tylko w Istambule.

Biorę się do netu. Ja szukam, on tłumaczy z Tureckiego. Strona Conti jest tak hujowa, że nic tam nie można znaleźć. Jakiś telefon do germańców gdzie można o coś pytać. Szefo mówi, że jest jakaś firma w Turcji która ma prawie wszystko. Dzwonimy. Mają wszystko oprócz motocyklowych. Ale tam znajdujemy gościa, który zna gościa, który być może zna kogoś kto nam pomoże. Cały łańcuszek telefonów aż wreszcie po drugiej stronie pojawia się Emre.

Do you speak English? Pytam. Yes, odpowiada mi płynna a nie jakaś tam turecka angielszczyzna 😊Bóg był z nami 😊

Wyłuszczam sprawę i Emre odpowiada, że no problem w dniu w którym wyznaczymy w Adanie będą czekały na nas 2 oponki TKC80 w cenie niższej niż w Polsce. Potwierdzam to kilka razy bo może jednak językowe niuanse mnie zgubiły. Ale nie, wszystko się zgadza.

Odkładam słuchawkę nie do końca wierząc w to co się stało. Piszę do Emre smsa ze wszystkimi rozmiarami, datami i cenami pytając się czy all is ok? Emre potwierdza, że tak.

Rozmawiając z Emre kilka dni później okazał się on jakimś szefem, menago czy innym ważniakiem Continentala na Turcję. Stwierdził, że w razie potrzeby może w ciągu 3 dni dostarczyć dowolnego Conti w dowolne miejsce Turcji.

Wyraził zgodę na umieszczenie wizytówki na forum co czynię.



Najlepiej dzwonić do niego na komórkę lub pisać smsa. Kierunkowy do Turcji to 90. Więc numer do niego to +905335689791. Mam nadzieję, że komuś tym telefonem kiedyś dupę uratuję 🇹🇷

Wyjeżdżamy z Erzurum w dobrych humorach. Aż się chce gdzieś poszutrować. Długo nie trzeba czekać. Raz ciach i już mkniemy po czerwonej ziemi.



Jak zwykle rewelka. Tniemy z góry i pod górę. Przecinamy jakieś zbocza, rzeczki i kanały. Pięknie 🇹🇷

Najgorsze do jazdy okazują się drogi, które pokryte są luźnymi kamieniami wielkości pięści. Przednie koło lata jak głupie a tylne nie ma gdzie się zaczepić i buksuje po tych

kamlotach. To takie moje prywatne odczucie. Może po prostu wystarczy dać pizdę ogień i po sprawie? Niech lepsi się wypowiedzą.

W pewnym momencie GS traci pierdolnik do przełączania biegów.



Uznajemy, że dość zabawy. Czas wydorosnąć i naprawić sprzęt. Zjeżdżamy do jakiejś wiochy. Szukamy śruby fi 8 albo 10 z dwiema nakrętkami. Patrząc sklep w którym widzę jakieś narzędzia.

Gość ani be ani me ani kukuryku po angielsku. W ruch idą ręce oraz język migowy. Śruuuuba mówię. Aaaa uśmiecha się, myślę git. Przynosi kłódkę. Co to jest? pytam. Śruba mówię. Aaaa i przynosi zawias. No dobra nic tu po nas. Trzeba znaleźć warsztat. Po chwili stoimy na warsztacie. Szast prast, 20 minut i już jedziemy z naprawionym pierdolnikiem.

Gość nie wziął nic za naprawę. Szacun dla niego 🧐

Do Diyarbakir mamy 150 km. Nigdzie już nie zbaczamy tylko walimy drogą.

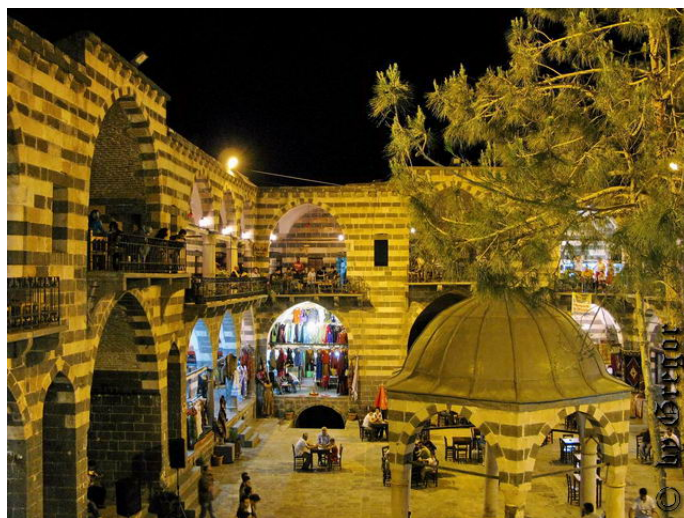
Okolo 50km od celu wjeżdżamy na przełęcz. Na jej szczycie po drugiej stronie droga mocno i bez żadnego skrętu schodzi w dół. Przed nami całkowite i nagłe wypłaszczenie terenu. Ani jednego pagórka. Nic. Po prostu nagle za górami zaczęła się pustynia. Niesamowity widok. Dojeżdżamy do hotelu już po zmroku. A zmrok w tamtych rejonach jest około 19-20. Walimy do centrum, a co tam, stać nas 😊

Znajdujemy fajne, klimatyzowane spanko z garażem przy jakiejś hotelowej kuchni czy pralni. Jeszcze dobrze nie zleźliśmy z motocykli przychodzi koleś i pyta czy mówimy po angielsku? Da, a o co chodzi. Jak się ucieszył. Mówi, że on chce nas po mieście oprowadzić, poopowiadać, popytać i w ogóle wszystko 😊No, ok mówimy. 30 min na prysznic i rozpakowanie i będziemy. Myślałem, że pójdzie w cholere, ale on wiernie czekał. I dobrze.

Jednak wieczorne dysputy z lokalesami, nawet mimo zmęczenia, są wspaniałe. Opowiadał, że te rejony w większości zamieszkują Kurdowie którzy kiedyś byli w Armenii. W ogóle nie czują się Turkami. Studiuje w Istambule i przyjechał na wakacje do rodziców. Zaprowadził nas do miejsca gdzie pół miasta wieczorem przychodzi na herbatki i występy. Co oni cholera mają z tym pić? Piwa szukaliśmy ze 2 godziny. W końcu gdzieś potajemnie dostaliśmy spod lady.

Pojedliśmy, popiliśmy, pogadaliśmy. Ogólnie wypas.





Ten gość koło mnie ma 55 lat. 10 dzieci i kochankę. Mówił o sobie Casanova 🇹🇷

Chciał nam opchnąć jakieś dywany, ale grzecznie odmówiliśmy 😊

Po kilku godzinach żegnamy się z naszym Kurdyjskim przyjacielem Tanerem i idziemy do hotelu. W końcu jutro nie lada wyzwanie - granica syryjska.

Stamtąd kilkadziesiąt kilometrów do Iraku. Poczekam, aż amerykanie wyjadą i śmignę to razem z Azerbejdżanem 🇹🇷



Reasumując. Wschodnia Turcja jest wspaniała.

To nie to co obesrane kurorty w zachodniej części. Każdy myśli, że jak pojechał opalać się do Antali czy Alani to był w Turcji. Gówno prawda. Podobnie jak się jest na opalaniu w Egipcie, Tunezji czy Maroko.

Jedyne co można uczciwie powiedzieć to, że się było w jakimś kraju, w hotelu z kiepskim żarciem. było ciepło i był basen. to wszystko.

We wschodniej Turcji, poza walorami widokowymi, można zobaczyć to co najpiękniejsze. Lokalesów. Czego Wam i sobie życzę 😊

Następnego dnia rano byliśmy na granicy Syryjskiej.....

Idziemy do policjanta wbić pieczętki do paszportów. Pierw "custom" odpowiada. Ale my nie mamy nic do oclenia. "Custom" i nie gadać.

Idziemy i pierwsze pytanie: "czy macie triptik?" Jaki triptik? Normalny, macie triptik czy nie? Nooo, nie mamy. To idźcie do banku i zapłaćcie 100\$ za triptik.

A więc jednak. Za wjazd trzeba płacić 100\$. Upewniam się, że za każdym naszym wjazdem trzeba będzie płacić 100\$. Ale o co chodzi. Walczę jak lew. Przecież teraz już będę miał ten pieprzony triptik. Zapłaćę za niego 100 baksów! Nie szkodzi. Za każdym wjazdem trzeba płacić za wypisanie dokumentu który zastępuje triptik i basta.

Ten najdroższy dokument wygląda tak:

The image shows a handwritten document from the Syrian Arab Republic, titled 'الجمهورية العربية السورية' (Syrian Arab Republic). It appears to be a customs declaration or a vehicle registration form. The document is filled with Arabic text and numbers. Key sections include:

- Header: 'الجمهورية العربية السورية' (Syrian Arab Republic), 'الجواز' (Passport), 'مكتب الجوازات' (Passport Office).
- Personal Information: 'الاسم والشهرة' (Name and Nickname), 'رقم الهوية' (ID Number), 'رقم الجواز' (Passport Number).
- Vehicle Information: 'نوع الشاحنة' (Type of Vehicle), 'رقم الشاحنة' (Vehicle Number), 'نوع المحرك' (Engine Type), 'رقم المحرك' (Engine Number).
- Financial Information: 'مقدار الرسوم' (Amount of Fees), 'رقم الرسوم' (Fee Number).
- Signature: 'التوقيع' (Signature) and 'الختم' (Stamp).
- Bottom Section: 'الجموع برسوم التصدير' (Total with Export Fees).

No ale gdybym miał triptik to bym nie płacił? Pytam. Tak. To dlaczego go nie mam i co to do cholery jest ten triptik 🤔

Po pół godzinie dyskusji w różnych językach okazuje się, że tajemniczy triptik to nic innego jak CPD.

[TUTAJ](#) Chomik się przy nim napocił 🍷

Mając CPD przy wjeździe płaci się 10\$. Jeżeli ktoś zamierza kilka razy przekraczać granicę syryjską warto to przekalkulować.

Jeszcze jedna uwaga. Za obesrany triptik można płacić tylko w jednej walucie. Albo w dolarach albo w funtach. Tych syryjskich. Przy ostatnim wjeździe miałem 50 dolców w funtach i chciałem drugie tyle dołożyć w dolarach. Nie dało rady. Wypisują jakiś ważny kwit który musi być opłacony jedną walutą.

Wszędzie ze ścian patrzy na nas dumna twarz ichniego wodza i jego tatusia. Sterty jakiś bezsensownych akt, papierów i innej egzotyki. Przypomniały mi się dawne nasze granice.

Po załatwieniu triptiku lecimy do policji, gdzie ważny generał z pagonami wszystko sprawdza i stempluje. We wszystkich krajach arabskich sporym ułatwieniem dla nas było specjalne okienko dla innostrańców. Obok w okienkach straszny tłok a przy naszym max 2-3 osoby.

Jeszcze kontrola ostateczna czy nikt wcześniej nie popełnił jakiegoś babola i pijemy syryjską coca-colę. Całość trwała 3 godziny.

Walimy na stację zatankować. Po tureckiej benzynce ze 6,50zł syryjska za 2 zeta jest miłą niespodzianką.

Plan na dziś to Dayr az Zor. Do przejechania 300km. Spokojnie i bez nerwów przemierzamy pustynię. Czasem sobie ją nawet zwiedzamy 🇸🇾



Dojeżdżamy do miasta. Stoję na moście i patrzę na rzekę, którą tylko znałem z opowiadań na lekcji geografii. To Eufrat. Dumny jestem z siebie 😊

Znajdujemy hotel w centrum i idziemy wszamać jakąś syryjską szarmę lub jak kto woli sharmę. Dostajemy szybkiej sraczki więc wracamy do hotelu. Spijamy kilka piw i grzecznie lulu.

Następnego dnia cel to granica z Jordanią. Do obejrzenia kilka tematów więc nie ma co się ociągać. Wyjeżdżamy i po jakimś czasie jesteśmy w Palmirze.

Mnóstwo staroci na rozległym terenie. Wjeżdżam motocyklem i oglądam wszystko z siodła. Nikt mnie nie przegania, nawet widziałem tubylców co na swoich piździkach wożą turystów.

Ogólnie bardzo przyjemnie choć temperatura już ponad 40 stopni.



Powyżej ruin jest cytadela. Włażę i widok jest imponujący.



40 minut jeżdżenie-zwiedzania mi wystarczy. Ciśniemy dalej do Damaszku. Cały czas znaki nas informują, że Irak jest tuż, tuż.



Droga jak droga. Pustynia jak pustynia. Lecimy bez przeszkód. Po drodze zatrzymujemy się w Cafe Bagdad na zimną wodę, choć gość koniecznie chciał nam zapodać gorącą herbatę.



Dojeżdżamy do Damaszku. Istny koszmar. Nie tylko komunikacyjny bo do tego już się przyzwyczailiśmy. Wszędobylski syf, zero oznaczeń na drogach, szarość i płacz. Pewno w Damaszku jest wiele ciekawych zabytków, meczetów i innych rzeczy, ale po godzinie miotania się mamy to w dupie. Jedziemy w kierunku Jordanii. Do niespodziewanych rzeczy, które spotkały nas w Damaszku należały zakupy na targu z owocami. Podchodzę i ładuję kilka brzoskwiń, śliwek i biorę dwie puszki czegoś do picia. Pytam ile. Uśmiech się i mówi, że nic. Dziękuję nam, że u niego kupujemy i życzy nam szerokiej drogi. W syryjskich warunkach to rzadkość. To raczej biedny naród, który przycina gdzie tylko może. Zwłaszcza turystów.

Dojeżdżamy na granicę. Szybka odprawa wyjazdowa i już tablica nas informuje, że jesteśmy w Jordanii.



Podczas planowania podróży do Jordanii zdecydowanie polecam każdemu nocleg na granicy pomiędzy Syrią i Jordanią. Znajduje tam się mega wypasiony hotel ze sklepem wolnocłowym. Koszt hotelu to 34\$ a koszt nawalenia się dwóch osób nie przekroczył 15\$.

Następnego dnia w dobrych humorach wjeżdżamy do Jordanii.

JORDANIA

Granica bezboleśnie. 50\$ ubezpieczenie, 15\$ wiza, 30 minut z urzędasami mówiącymi po angielsku i już. Kołujemy po ziemi jordańskiej.

Nieco czyściej, na ulicach mniej trąbienia, ogólnie widać, że cywilizacja tu nieco przyspieszyła. Dzisiejszy cel to Aqaba. Samo południe Jordanii. Kilka kilometrów od Arabii Saudyjskiej. Ponieważ autostrady nas nie kręcą ustalamy, że na południe będziemy jechać przy granicy z Izraelem a wracać Drogą Królewską.

Zaczynają się kontrole wojskowe. Mimo, że Jordania podpisała pakt z Izraelem, że nie będą się bez sensu tłuc to czuje się, że coś jest na rzeczy. Kontrole miłe i sympatyczne. Skąd? Dokąd? OK jechać.

Po drodze wpadamy do Yerashu. Oglądam starocie i lecimy dalej.



W pewnym momencie dojeżdżamy do rozwidlenia dróg. W lewo Aqaba w prawo "Baptist Site". Podjeżdżam bliżej i w oddali widzę granicę.



Czas zawracać bo jeszcze wbiją mi pieczętkę do paszportu i nie będzie powrotu 😊

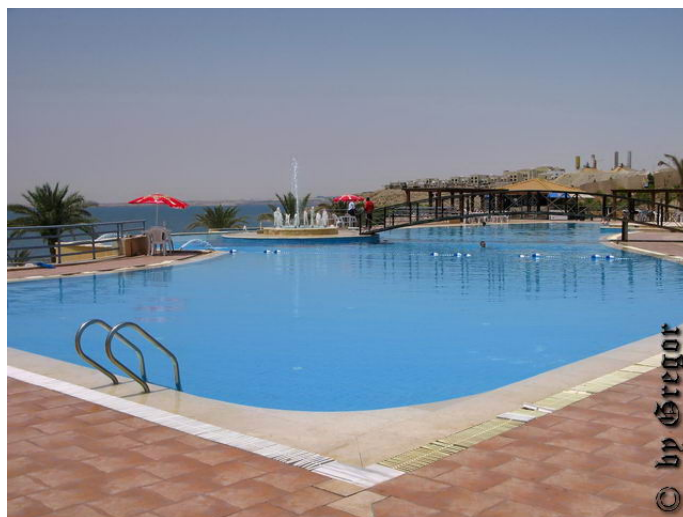
Temperatura osiąga 45 stopni, gorąca jak diabli. Postanawiamy się wykapać. Czasu jest opór bo Jordania to niewielki kraj. Przy drodze stoi wielka tablica z napisem "Amman Public Beach". No dobra, myślę, publiczna, pewnie będzie syf, ale na hotelową tak łatwo nie wejdziemy.

Podjeżdżamy na parking.



Przebieram się, proszę gościa co otwiera bramę o zerknięcie na nasz dobytek i wchodzę na publiczną plażę. To co zobaczyłem przeszło moje najśmielsze oczekiwania.





Same plusy. Czysto, pyszne jedzenie, do picia zimna woda, super baseny i zero niemieckich turystów. Po prostu bajka. Ech, gdyby tak wyglądały wszystkie plaże publiczne. Jak ktoś tam będzie to zdecydowanie polecam.

Po ochłonięciu w basenie postanawiam sprawdzić efekt wyporności Morza Martwego. Złazę z basenu nad morze.



To chyba najcieplejsze morze w jakimkolwiek się kąpałem. Woda jest po prostu gorąca. Słona jak smok. Aż szczypie w język. W przewodniku wyczytuję, że średnie zasolenie to 35%.

Biorę się za tonięcie. Pionowo i poziomo, na brzuchu i na plecach, ręce w górze bez powietrza i nic. Nie da rady. Po prostu nie da rady. Wychodzę z wody w wielkiej zadumie. Patrz pan jaka ta fizyka jest ciekawa 🤖

Ponieważ skóra zaczyna mnie szczytać idę do słodkowodnych basenów.

Ogólnie miło spędzamy czas ale trzeba lecieć dalej.

Mknijemy sobie wzdłuż Morza Martwego a potem dalej wzdłuż granicy z Izraelem. Kontrole co 20 km. Koło godziny 18 dojeżdżamy do Aqaby.

Zbychu zarządza bunt na pokładzie. Jutro nie chce widzieć na oczy motocykla. Potrzebuje dnia przerwy. Ustalamy, że jutro ponurkujemy.

Zaczepiam gościa o sportowym wyglądzie. Włoska uroda, rysy kulturysty 🇮🇹 Pytam o dobry nurkowy klub. Bez wahania odpowiada, że tylko Royal Diving Club.

Tankujemy się i jedziemy 15km do hotelu. Po drodze mijamy tablicę, która informuje, że Arabia Saudyjska jest dosyć blisko.



Przed samym hotelem przechodzimy jeszcze jedną kontrolę i jesteśmy.



Rezerwujemy spanko na 2 dni. Dajemy hotelowemu boyowi 5\$ za zatarganie naszych kufrów do pokoju i już po chwili pluskamy się w basenie.

Tego dnia grają Hiszpania i Rosja. Na ścianie hotelu, która służy za ekran, jest wyświetlany mecz. Walimy się na leżaki, woda i piwo w dłoń i oglądamy jak Hiszpanie leją Ruskich 😊

Następnego dnia nurkowanie. O 9 rano meldujemy się na stanowisku dowodzenia. Wypełniamy formularze i można nurkować.

Nurkowanie wygląda nieco inaczej niż w Egipcie. Tam zazwyczaj trzeba płynąć łódką daleko w morze. Tutaj busem jedziemy parę kilometrów i wchodzimy z plaży do wody. Rafa jest już 100 metrów od brzegu. Pierwsze nurkowanie oprócz typowych widoków w tamtych morzach ma atrakcję w postaci oglądania wraku statku, który znajduje się na głębokości 30m. Po południu dla odmiany oglądamy czołg 🇸🇩

Przewodnik tłumaczy, że zarówno statek jak i czołg został na polecenie króla specjalnie zatopiony. Ot taki ukłon dla turystów. Naprawdę miło 😊

Ponieważ nie robiliśmy zdjęć pod wodą to wklejam znalezione w necie.



a tu kilka fotek z zatapiania statku

<http://www.diveaqaba.com/tec/shorouk.html>

Podczas naszego nurkowania zrobiliśmy pranie. Znaczą hotelowa pani zrobiła. Byliśmy zregenerowani, najedzeni, napici i czysti. To jakby znowu wyjeżdżać z domu.

Wieczorem robiliśmy to co zwykle 🏠

Następnego dnia rano wyjeżdżamy. Po dwóch godzinach dojeżdżamy do naszego noclegu. Znajdujemy przyjemny hotel z masażami turecko - jordańskimi. Niestety masować miał mnie facet więc podziękowałem 😊

Przebieramy się w luźne ciuchy, płacimy 30\$ od osoby i już jesteśmy.

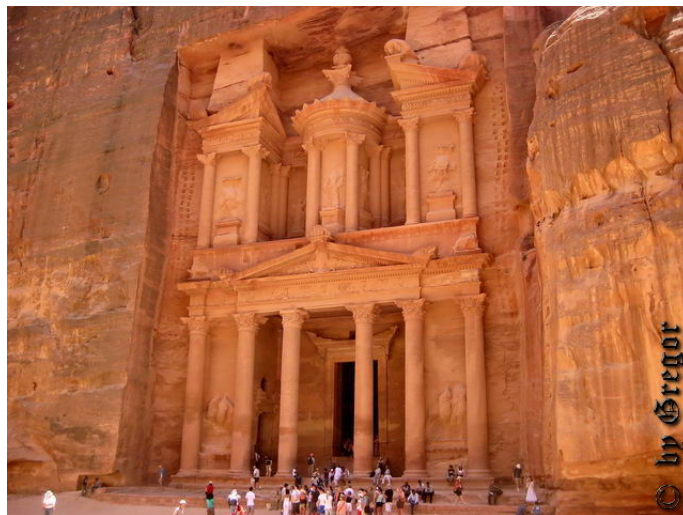


Petra. Ruiny miasta Nabatejczyków. Dla ciekawskich:

[http://pl.wikipedia.org/wiki/Petra_\(Jordania\)](http://pl.wikipedia.org/wiki/Petra_(Jordania))

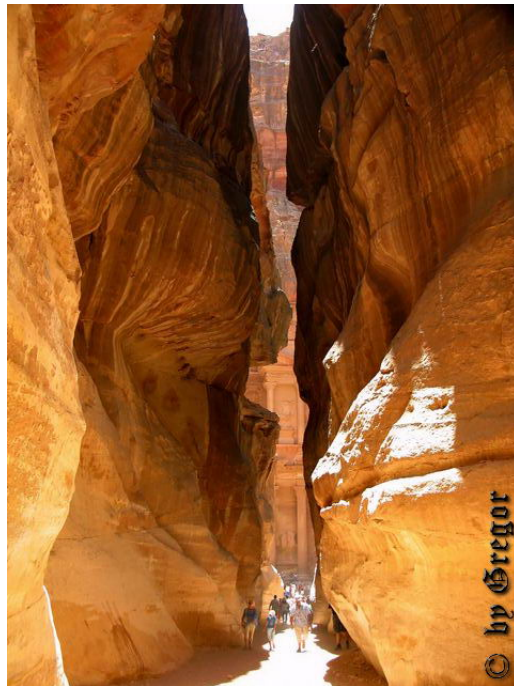
Są to ruiny inne niż zwykle. A właściwie samo dojście do nich i ich położenie jest niesamowite.

Główna atrakcja to oczywiście pierwsza świątynia.



Choć samo dojście do niej jest chyba bardziej imponujące.





Dużo by opowiadać i opisywać. Naprawdę ładne miejsce. Jak ktoś będzie na pewno zajedzie. Jest to zresztą chyba największa atrakcja Jordanii.

Kierujemy się dalej. Zbaczamy trochę z ogólnie utartego szlaku i po chwili widzimy starożytne miasto z góry.



Dochodzimy do baru. Szybki obiad i do obejrzenia pozostała jeszcze górna świątynia.

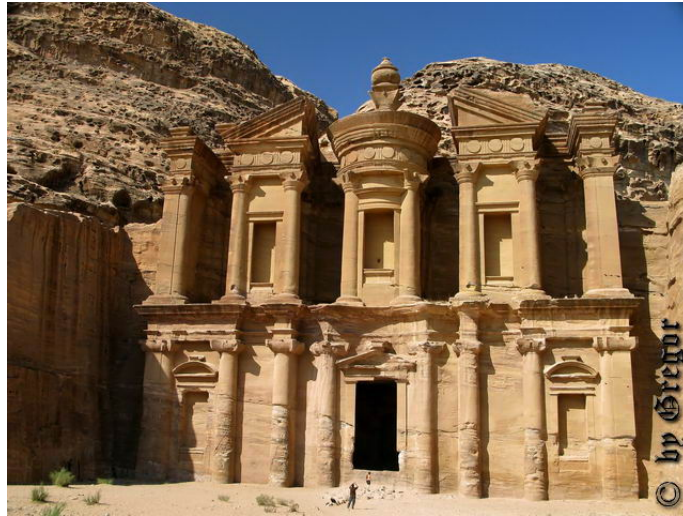
Zbychu stwierdza, że już ją widział i nie idzie. No cóż taki lajf.

Biorę nogi za pas i idę.

Po drodze mijam typowy tutaj widok



Niebawem jestem u celu.



Wiem, że można oglądać Petrę 3 dni. Można włączyć w każdą dziurę i szukać natchnienia. Nam się nie chciało. Po 4 godzinach byliśmy w hotelu.

Poszliśmy "na miasto" gdzie oddawaliśmy się naszym ulubionym czynnościom 😊

Następnego dnia wracamy do hotelu na granicy. Kierujemy się Drogą Królewską. Po drodze przejeżdżamy przez jordański wielki kanion.



Na wysokości Madaby zwrot w lewo i kierunek przez góry nad Morze Martwe.



Ponowna kąpiel w Amman Beach i wieczorkiem jesteśmy na granicy. Sklep wolnoctowy w hotelu wita nas z otwartymi rękami 🇮🇵

A następnego dnia byliśmy już w Bejrucie 🌍🇱🇧

LIBAN

Po upojnej nocy na granicy syryjsko - jordańskiej, rano wyruszamy zdobywać Liban. Naszym celem jest miejscowość Tyr na samym południu Libanu, kilkanaście kilometrów od granicy z Izraelem. Dlaczego tam? Ano dlatego, że Liban to był jedyny kraj do którego aby dostać wizę trzeba mieć zarezerwowany hotel.

Gdy załatwiałem wizy to wlałem na stronę <http://www.lebanon-hotels.com/> i niezbyt długo szukając wybrałem hotel nad morzem. Właśnie w Tyr.

Liban to niewielkie państwo więc stwierdziłem czy to będzie tu czy tam nie ma żadnego znaczenia. Byle było nad morzem 🇱🇧

Do przejechania około 250km więc liczyłem na obiadek i kąpiel w basenie już w hotelu. O jakże się myliłem 😊

Jeszcze dobrze nie wyjechaliśmy z hotelu, po przejechaniu 2 km napotkaliśmy granicę syryjską. Wiedzieliśmy już co i jak więc poganiamy urzędasów w ich robocie. Ubezpieczenie mamy, triptik - płacimy 100\$, pieczętka policji i już po 1,5 godzinie jesteśmy w Syrii.

Ponieważ jadąc od południa do Libanu, jedyne przejście jest na wysokości Damaszku więc musimy trochę się cofnąć. Albo jak mawia redaktor Szpakowski "cofnąć do tyłu" 🇱🇧

Lecimy autostradą do Damaszku i w kierunku granicy libańskiej. Dojeżdżając do granicy pojawia się więcej wojska i patroli.

Na granicy w miarę nieźle. Ubezpieczenie 50\$, wizę już mamy, kontrola paszportów i już. 30 minut i jesteśmy w Libanie.

Gdy wyjeżdżaliśmy z Libanu pogranicznik, który przeglądał mój paszport stwierdził, że jeżeli się przyjeżdża turystycznie do 30 dni to nie potrzeba wizy. Coś tam się wykupuje na granicy. Mówię, że w ambasadzie mówili inaczej. Dla tych co tam będą jechali polecam sprawdzić bo zawsze będzie taniej. Nie trzeba rezerwować hotelu, jeździć do ambasady no i płacić 35\$

Jedziemy. Kilka kilometrów dalej Zbychu się zatrzymuje i coś tam pokazuje do tyłu. Niemożliwe, mówię. Tak, naprawdę. Tak? no to jedziemy. Cofamy się do tyłu 😊500 metrów i podjeżdżamy pod budę z pieczonymi kurczakami. Takie typowe, nasze kurczaki. Siadamy jak pany, bierzemy kuraka, picie, surówki i jemy. Płacimy 8\$ i w końcu jemy normalne jedzenie. Nie jakieś tam naleśniki, oliwki, chałwa czy jajka na twardo. Jedynie kilka razy musiałem tłumaczyć, że do mojej wypasionej surówki składającej się z samej kapusty nie chcę żadnych sosów.

Po najedzeniu biorę mapę i wykreślam najkrótszą trasę do Tyr. około 80 kilometrów. Godzinka i jesteśmy. Asfalt jak z żurnala, zakręty, zero samochodów. Po bokach góry przypominające te z Sardynii czy Sycylii.

Po kilku kilometrach kontrola. Dokąd? Do Tyr. Po co? Do hotelu. Pokazuję rezerwację. Ok jechać. Rozkoszujemy się dalej widokami. 20 kilometrów kontrola. Po co, dokąd, skąd, ok jechać. Jesteśmy prawie w Marjiyun. Do Tyr mamy 30 km i następna kontrola. Gość ni słowa po angielsku. Passport, duka. Dajemy, coś tam gadają, mamroczą. Oddaje paszport i nawija po arabsku. Nic nie kumam, ale z jego miny widzę, że nie żartuje, a z ruchów rąk że dalej nie pojedziemy. Wracać. Pokazuję rezerwację, wizy, tłumaczę. Na nic. Nie mogę się dogadać.

Wsiadam na sprzęta i wracamy na poprzedni posterunek gdzie choć trochę mówili w lekko znanym mi języku. Niestety ni mogłem zrozumieć o co chodzi. Wykraczało to poza ich słownictwo. Zatrzymuje się jakiś lokales, który nam tłumaczy, że jesteśmy w strefie przygranicznej z Izraelem i do przejechania potrzebne są przepustki. Jakie przepustki? Nikt nam nic nie mówił. Ani w ambasadzie ani przy rezerwacji hotelu.

Przepustki można otrzymać u jakiegoś ważniaka w sztabie 10 kilometrów dalej. Jedziemy. Pod sztabem ochrona, karabiny, groźne miny i zero angielskiego. Z generałem proszę, zagaduję 😊Ponieważ jest godzina 16 generała już nie ma. Znajduje się jakiś gość co nam tłumaczy, że potrzeba zezwoleń. Gdzieś tam wydzwania, pokrzykuje, jeszcze raz dzwoni. Bierze naszą rezerwację do hotelu, gdzieś idzie, wraca, dzwoni, pokrzykuje. I tak przez godzinę. Po godzinie mówi, że nie pojedziemy naszą drogą. Jest to teren zamknięty, a zezwolenia są wydawane mieszkańcom lub w jakiś szczególnych sytuacjach. Tłumaczę, że nasza sytuacja jest szczególna. Jest godzina 17, mamy rezerwację a tam czeka basen i piwo. Niestety bez skutku. Pytam się którędy możemy jechać. Jedyna droga, którą możemy jechać to powrót na granicę, główną drogą do Bejrutu i potem wzdłuż morza

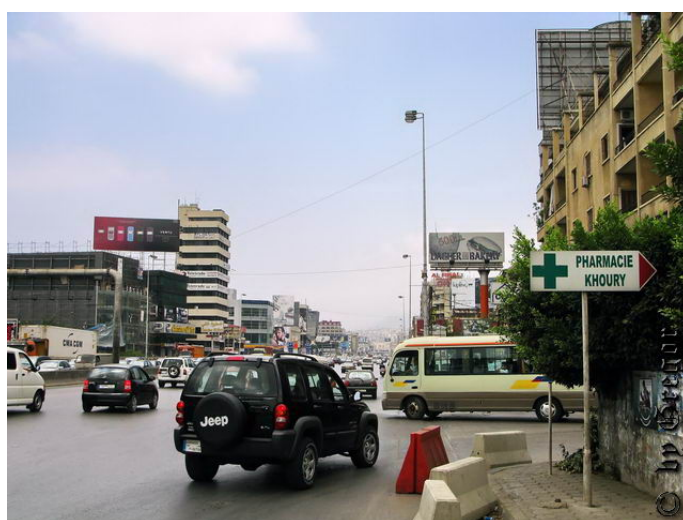
główną drogą na południe. Patrząc na mapę i oczom nie wierzę. Przecież to prawie 200 kilometrów! Inną drogą nie dojedziemy. Szczerze mówiąc się wkurwiłem. Plany z basenami, obiadem się oddalały. Ale co robić. Wracamy i jedziemy drogą, którą możemy przejechać.

Dojeżdżamy do granicy i kierujemy się na Bejrut. Widziałem w życiu różne drogi, różne góry i różne mosty. Ale to co zobaczyłem na drodze do Bejrutu zobaczyłem pierwszy raz. Droga przebiegała przez takie tereny, przewyższenia, których chyba nigdzie nie ma. Z drogi w dół były chyba przepaście o głębokościach ponad kilometra. A wszystko to na czteropasmowej drodze z poprzyklejanymi do niej domami i ruchem ulicznym jak w Warszawie w godzinach szczytu. Jedyna różnica to taka, że u nas samochody w korku stoją a tam całe towarzystwo zapierdala 100 km/h. Coś niesamowitego.

Nie ma czasu na przerwę, brak koncentracji czy inne fochy. Trzeba jechać bo cię rozjadą. Trzeba przyznać, że mimo ogólnego chaosu przemieszczają się oni bardzo sprawnie i w swoich nieprzewidywalnych ruchach są dosyć przewidywalni 😊

Dojeżdżamy do Bejrutu. Kolejny szok. Nie jest to typowa arabska stolica jak Kair czy Damaszek. Nie ma arabów z kurami pod pachami, dymiących starych kłopotów na ulicach. Nawet kobiety nie kryją się za chustami i szlafrokami tylko mają dzinsy i makijaż. Wygląda to jak normalne miasto. Ponieważ wszystko leży nad morzem stwierdziłem, że to jest chyba ta Hiszpania wschodu, której próżno szukać na Krymie.





No ale późno już więc kierunek - hotel. Jedziemy autostradą, żadnych kontroli, trochę spokojniej. Dojeżdżamy do miejscowości Sayda. 35 km od Tyr.
Kontrola.

Gość płynną angielszczyzną grzecznie mówi, że dalej nie pojedziemy. Zamarłem. Tłumaczę wszystko to co nas spotkało dzisiejszego dnia, wizy, rezerwacja, hotele, kilometry, plaża, basen i piwo. Odpowiada, że doskonale nas rozumie ale nie pojedziemy. Miasto jest objęte jakąś mega specjalną ochroną i tyle. Pytam się dlaczego wszyscy obok jadą? Jestem turystą nie terrorystą! wykrzykuję. Odpowiada, że do miasta mogą wjeżdżać wszystkie pojazdy oprócz motocykli. Czy to jakiś żart? pytam. Nie, odpowiada.

Odchodzę i chłonę myśli. O co chodzi. Jaja sobie ze mnie robi, czy co? Jak to, wszyscy mogą ale nie motocykliści, jakiś rasizm? A rowery? Rowery mogą.

Pytam się co mam zrobić. Mam hotel i takie tam. Mogę wziąć lawetę, która przewiezie mnie przez miasto. Ile to kilometrów? Pięć, odpowiada. Nie, to musi być żart.

Ale dwóch żołnierzy obok z AK47 sugeruje, że tu raczej nie ma mowy o żarcie. Pytam się skąd ta laweta i ile kosztuje. Lawety podobno jeżdżą na tej trasie bo przewożą też lokalne piździki. Żołnierz wychodzi na ulicę, cały ruch autostradowy robi stop i podjeżdża laweta. Ile? 20\$. No nie, 20\$ za 5 kilometrów, jutro powrót znowu 20\$, wyjdzie drożej niż ten obsrany hotel.

Mówię, że nie chcę. Autostrada rusza dalej. Jest godzina 19. Baseny i kąpiele poszły w pizdu. Co robić? Coś we mnie pękło, zaciąłem się. Wstaję i mówię do gościa, że płacić nie będziemy, że mamy wszystkie dokumenty uprawniające do wjazdu do Libanu, że mamy rezerwację i chcemy kurwa jechać. Nie możemy odpowiada. W takim razie informuję go, że nie mamy już pieniędzy na kolejny hotel i śpimy tu na ulicy pod okiem jego AK47.

Chłop wpada w konsternację. Tłumaczy, że nie można tu, że mamy zabrać motocykle i cofnąć się przynajmniej 200m od punktu kontroli. Stwierdzam, że jestem głodny i zmęczony bez pieniędzy i humoru. Przekazuję moje stwierdzenie żołnierzowi i informuję go, że może mnie aresztować lub zastrzelić, bo ja się stąd nie ruszam.

Na jego twarzy widzę wyraźnie głupią minę. Odchodzi, bierze telefon.

Nie będę opisywał szczegółów naszych dalszych rozmów ale możecie wierzyć, że było interesująco. Po godzinie telefonowania podchodzi i grobowym głosem informuje, że za chwilę podjedzie wojskowy wóz za którym pojedziemy do sztabu, gdzie pogadamy z pułkownikiem. Myślę ok, będziemy spali na więziennej pryczy, zawsze to lepiej niż przy autostradzie 🇸🇩

Po kilku minutach podjeżdża gazik z karabinem wielkości lufy od czołgu na dachu. Jedzie pod prąd i cały ruch na autostradzie robi stop. Groźny gość podchodzi i mówi "follow me", jeżeli zostaniemy z tyłu, albo ich wyprzedzimy to nas zastrzelą. Ruszamy. Gość na dachu obraca lufę i celuje mi w głowę.

Cholera, a jak afryczka zdechnie, pompa padnie, regulator zawiedzie. Zastrzelą i tyle. No ale trudno. Jak przygoda to przygoda 😊

Przejeżdżamy przez miasto, ludzi widzą tu pierwszy raz motocykl od lat. Po kilku minutach dojeżdżamy. Biorą paszporty i każą czekać. Po chwili wracają i mówią, że teraz to będziemy rozmawiać z kolonellem. Szykuję się na ostrą walkę.

Wchodzimy do biura. Klima chodzi, muzyczka gra i zza biurka podchodzi do nas chłop w koszulce, krótkich spodenkach i klapkach. Co to za kolonel? myślę.

Gość płynną angielszczyzną wita nas serdecznie, przeprosza za zamieszanie i powstałą sytuację. Częstuje nas wodą i papierosami. Wygląda to trochę jak ostatni posiłek skazańca 😊

Ale nie, pełna sympatia i kultura. Zrozumienie naszej sytuacji. Tłumaczę jeszcze raz wszystko od początku. Wizy, hotele, patrole, rezerwacje, baseny, plaże piwo. Zbiera to wszystko do kupy, kseruje każdą stronę w paszporcie, nawet moją trasę narysowaną na mapie. Kiedy w końcu się zaprzyjaźniliśmy pytam go o co chodzi z tymi motocyklami? Odpowiada, że 10 lat temu dwóch Palestyńczyków na motocyklu jechało przez miasto i z kałacha waliło do ludzi. Zabili wtedy sporo osób i od tej pory motocykle mają wstęp wzbroniony. Przecież z samochodu też można strzelać, mówię. Tak ale motocyklem łatwiej uciec.

Tłumaczy nam, że generalnie na południe od Bejrutu a już 100% od Saydy, czyli miasta gdzie jesteśmy można się poruszać tylko i wyłącznie na podstawie zezwoleń. I co my w ogóle tu robimy. Jak tu dojechaliśmy, zwłaszcza na motocyklach? Normalnie, odpowiadam.

Potwierdza rezerwację, dzwoni na posterunki, granicę i Bóg wie gdzie jeszcze. Z uśmiechem na ustach mówi, że zrobi dla nas wyjątek i nas puści.

Informuje nas o zagrożeniach wynikających z bliskości Izraela, nakazuje nie zbaczać z drogi.

Ustalamy, że wojsko nas zostawi za miastem i jutro jak będziemy wracać to z hotelu mam do niego zadzwonić i umówionym miejscu będzie czekał samochód, który nas będzie eskortował przez miasto.

Z uśmiechami na ustach się żegnamy i jedziemy dalej.

Po drodze mijamy sporo posterunków, ale wszyscy już o nas wiedzą. Jedziemy bez problemów. A co, bali się. W końcu zawsze mogłem zadzwonić do kolonela 🇮🇵

O 21 lądujemy w hotelu. Z morza nici, z basenu też. Ale nic, myślę, warto było. Przygoda. Wypijamy po kilka browców i próbuję coś się dowiedzieć od właścicieli.



Jesteśmy u nich pierwszymi motocyklistami, pierwszymi Polakami. Opowiadam o przygodach z dzisiejszego dnia. Jesteśmy 14 kilometrów od granicy z Izraelem. Stacjonują tam wojska pokojowe, które pilnują tego bałaganu.



Pytam się, o co chodzi i po co się leją? Względy religijne? pytam. Nie, odpowiadają. Chodzi tylko i wyłącznie o ziemię. A kto napada na kogo? Izraelczycy na Liban. Przecież Liban nawet nie ma swojej armii, więc jak może na kogoś napaść, odpowiadają. Są tu tylko wojska pokojowe, które pilnują pokoju a nie napadają.

Raz na 3 lata są jakieś naloty z kierunku Izraela na Liban podczas których giną ludzie.

A czemu nie podpiszecie jakiegoś pokoju z nimi, jak Egipt czy Jordania? Bo Syria się nie zgadza. Syria? pytam zdziwiony, przecież to dużo biedniejsze państwo od Libanu. Ale jednak, są tam jakieś zależności, które nie są łatwe i pewnie długo się nie zmieniają. Generalnie w tamtym rejonie Syria rządzi.

Następnego dnia po śniadanku pstrykam kilka fotek, tego co wczoraj straciliśmy.



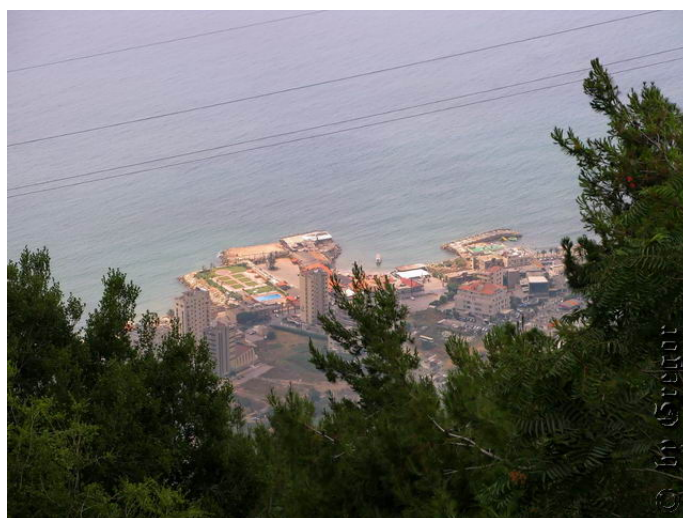
Jedno jest pewne. Kiedyś tam jeszcze wrócę.

Kierujemy się na Bejrut.

Dzwonię do pułkownika. W umówionym miejscu czeka wóz. Syrena policyjna i heja przez miasto. Samochody zjeżdżają na boki i kierowcy dość zdumieni na nas patrzą.

Dojeżdżamy do rogatek. Miło się żegnamy i już bez przeszkód ciśniemy dalej.

Mijamy Bejrut





oraz jego okolice. Po co jechać do egipskiego syfu?



Powyżej Bejrutu żadnych kontroli. Prawdziwe kurorty, Hiszpania wschodu 🇸🇵

Dojeżdżamy do granicy syryjskiej. Po dwóch wjazdach do Syrii to ja już na granicy mówię co i jak 🇸🇵45 min i już jestem w Syrii. Szast prast i wieczorkiem jesteśmy już w Turcji, gdzie śpimy w hotelu przy granicy.

A od następnego dnia rozpoczyna się kilkudniowy powrót. Coś tam jeszcze będzie do obejrzenia, ale generalnie już będziemy wracać.

KOMU W DROGĘ TEMU BUTY

Wstaliśmy rano, w głowie lekka zaduma po Libanie. No ale co fajne zawsze jakoś szybciej się kończy. Pakujemy się i spadamy. Kierunek Adana.

Jeszcze dobrze nie dopasowaliśmy dupy do kanapy zatrzymuje nas policja.



Kamera. Jaka kamera? Częstym sposobem kontroli jest stojący cywilny samochód na poboczu, który pstryka fotę a 2 kilometry dalej stoi już zadowolony gliniarz. To właśnie i nas spotkało. Jechałem 111 na 80. Mimo godziny próbowania, błagań, próśb i straszeniem zwolnienia z pracy 😊gównowo działaliśmy. Werdykt: 150\$ na łeb tureckiego mandatu 🌐👑👑
👁️👄👁️

Lekko zawiedzeni ruszamy dalej. Do Adany dojeżdżamy w południe. Nasz druh Emre był tak miły, że przywiózł nam nasze opony na stację benzynową przy autostradzie. Nie musieliśmy tracić czasu na adanowe korki 😊

Byłem lekko zaniepokojony czy te opony w ogóle będą. W końcu kilka dni temu wykonałem telefon, gość mnie nie widział i wcale nie musiał wierzyć, że przyjedziemy i je kupimy. Emre pewnie miał podobne obiekcje. Ale wszystko się udało wspaniale. Emre opony załatwił i je dostarczył. My dojechaliliśmy i je kupiliśmy 🌐

W tym miejscu się rozstałem z moim współtowarzyszem Zbychem. Już kilka dni temu wspominał, że musi pilnie wracać do domu. No cóż takie życie 😊

Życzyliśmy sobie bezpiecznego dojechania do domu i.... zostałem sam.

Śmignąłem sobie Red Bulla, podumałem chwilę i obrałem kierunek na Kapadocję. Ponieważ nie zamierzałem jechać autostradą, więc pierwszym zjazdem w Adanie zjechałem z niej i zacząłem się kierować na północ. W GPSie wbiłem Pozanti, najkrótsza trasa i heja 🌍

Pierwsze parę kilometrów jechałem jakimiś bocznymi drogami potem moja mapa mówi skręć w lewo. Patrzą, w jakie lewo? O czym on do mnie rozmawia? Góra jak smok z jakąś pieszą ścieżką. Dumam chwilę, no jak przygoda to przygoda. Rura gaz i cisnę pod górkę. Zimny pot mi leciał po plecach jak jechałem następne kilometry. Raz było łatwiej raz trudniej.

Najważniejsze, że dookoła rozciągały się niesamowite widoki. Próżno takich szukać jadąc autostradą czy nawet boczną drogą. Szutry i błota mają swój własny niepowtarzalny styl.





Przejechałem tymi drogami prawie 100km. Lekko zacząłem się niepokoić o paliwo. Jak planowałem tą trasę GPS poinformował mnie łaskawie, że do przejechania jest około 120 km. Ale jak to w życiu. Kilku dróg nie było, kilka ominąłem a z kilku po prostu zrezygnowałem. Koniec końców przejechałem 100 km a GPS czule mnie informuje, że do przejechania mam jeszcze drugie 100 km 🌐🌐🌐🌐

Myślę sobie, że moja przygoda się może lekko przedłużyć 😊

Postanowiłem, że w najbliższym mieście poszukam jakiegoś lokalesa i wezmę od niego trochę benzynki.

Szukam tego miasta, ale skąd ja tu wezmę miasto. Kilometry szutrów uciekają, a po drodze jakieś chałupy z krowami i nie ma żywej duszy.

I nagle, po kolejnych 30 kilometrach błota i szutrów dojeżdżam do krzyżówki. Na wprost ciągnie się dalej moja szutrówka, a na lewo i prawo idzie inna szutrówka. Trochę jak na pustyni Mohave 🌐! na tym skrzyżowaniu, z dala od czegokolwiek, nikt mi nie uwierzy, stoi najprawdziwsza, nie jakaś tam gówniana, tylko najnowocześniejsza w pełni wypasiona, jak na warunki tureckie ofcourse, stacja benzynowa Shella 🌐🌐🌐

Podjeżdżam, wychodzą ludzie ze stacji. Patrzą, oglądają nieśmiało zagadują "ale o co chodzi" 🗨️ Tłumaczę, że jadę z Adany do Pozanti. Ale czemu nie autostradą? Ech, nikt nas nie rozumie, bo taki mam fan mówię.

Rozluźnili się, witamy się, ściskają pierwszego motocyklistę, który do nich zawitał. Nakarmili mnie, napoili zatankowałem się na full. Było zajebiście 🌐

Właściciel mówi, że to jedyna stacja w promieniu 100, 150 km. Wszyscy regionalni o niej wiedzą i tylko tu można zatankować. O jakie miałem szczęście 😊

Stacje prowadził już jego pradziadek. Kiedyś to był dystrybutor na polu, potem dwa a teraz normalna stacja.



Żegnamy się czule, naprawdę się trochę tymi ludźmi wzruszyłem. Do Pozanti mam prawie 100 km. Postanawiam już się nie wygłupiać tylko jechać w miarę przejezdnymi drogami. Zrobiła się godzina 16. Gdzie Pozanti?, a gdzie Kapadocja.

Ruszam. Prawie do samego Pozanti kamienisty szuter, ale z widokami i klimatem, że aż dech zapiera. Jak ktoś będzie w okolicy z nadmiarem czasu to polecam ten "skrót".





O 18 jestem na głównej drodze. Do Nevsehir mam ze 150 km. Do Adany ze 120. Od Adany zrobiłem szutrąmi ponad 200 🇹🇷 Taki to był "skrót"

Jadę beznamiętnymi tureckimi asfaltami, które są tak ostre, że ich jedyne zadanie to zeżreć moją oponę do końca.



Do stolicy Kapadocji dojeżdżam około 21.

Znajduję hotel i idę do marketu coś wszamać.

Motocykl stawiam na hotelowym parkingu strzeżonym 🇹🇷



Następnego dnia jadę do Goreme.



To podobno esencja esencji Kapadocji. Ponieważ jestem minimalistą zdecydowanie mi to odpowiada.

Zjechanie Kapadocji zajęło mi godzinę. To jedna z bardziej wygodniejszych form zwiedzania na tym wypadzie.

Ciekawe kształty skał dają równie ciekawe wrażenie 🌿



Specjalny model dla kobiet 😊





Ruszam w drogę. Dzisiejszy plan jest bez planu. Jechać dokąd się da.
Pod Ankarą zatrzymuję się na obiad. Spotykam grupę Niemców, którzy kilka dni temu wyruszyli w objazd Morza Czarnego. Przez Turcję do Gruzji i potem prom do Rosji itd.



Jechali na jednej afryce i gsach.



Opowiadali mi jak to mają chytry plan przekupienia kapitana w Batumi aby dostać się na kajak do Sochi. Ciekawe kiedy dotarli do domu 🇹🇲

Dojechałem do autostrady z Ankary do Istanbułu. 4 pasy w jedną stronę, zero samochodów.

Tylko ja, moja afryka, 4 pasmowa autostrada i prędkość 140 km/h. Istny koszmar.

Z nudów zacząłem zamykać oczy, puszczać kierownicę, stawać na motocyklu itp. Mało nie pizdnałem w barierkę.

AT to zdecydowanie nie jest motocykl na autostrady. Podziwiam dj.1, że zrobił swoje 100 tys po autostradach. Wiem, że mógłbym jechać trochę szybciej, ale to pewnie nie wiele by zmieniło.

Późnym popołudniem dojeżdżam do Istanbułu. Wykonuję szybką formę zwiedzania poprzez rzut oka z mostu i lecę dalej. Wiem, wiem, jak mogłem nie wjechać, nie zobaczyć, nie poczuć atmosfery. Kiedy indziej 😊

Było już lekko ciemno kiedy dojechałem do granicy Bułgarskiej. Znalazłem hotel i poszedłem spać. Zrobiłem ponad 1100 km i dupa mnie lekko bolała 🇹🇲

Następnego dnia wjeżdżam do Bułgarii. Na granicy widzę pierwszych Polaków. Bardziej słyszę specyficzne słownictwo niż widzę, ale wiem już, że na pewno jestem w Europie 😊

Granica sprawnie i bezboleśnie. Co ciekawe przy pierwszym okienku panienka wzięła mój paszport i dowód rejestracyjny, coś tam porobiła i oddała wraz z pendrive'm. Potem przechodząc przez procedurę każdy tylko chciał pendrive'a. Ostatni go zabrał i kazał jechać. Ot, komputeryzacja 😊

Lecę dalej. Krajobrazy takie bardziej nasze. Dużo lasów, zieleni i wody.





Niebawem jestem w Rumuni. Zero kontroli. To lubię. Nabywam lokalną walutę. Warta jest tyle co złotówka. Ceny zresztą też podobne.

Omijam Bukareszt szerokim łukiem. Ostatnio są tam przeokrutne remonty i szkoda czasu na korki.

Po południu jestem w Pitesti. Nadszedł czas na zmianę opony. Prawie druty już wystawały. A przede mną przecie trochę błota do przejechania. Dopiero w trzeciej wulkanizacji ktoś chce mi pomóc. Chłopaki tylko po rumuńsku gadają i ciężko nam idzie.

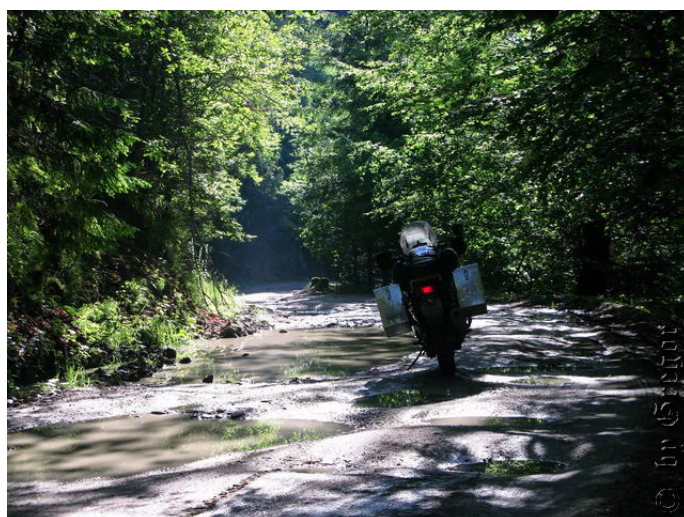
Główny pracuś jest niewysokiego wzrostu i pyta mnie czy znam hiszpański. Bo jego rodzice są z Hiszpanii i może ze mną pogadać. Mówię mu, że muchos gracias i porfawore opona do motocykleta. Si, si odpowiada. Lata po tym warsztacie jak głupi, trochę przypomina mi Manuela z "Hotelu Zacisze" 🍷

Co chwila mówi, że no problemo, signore, si si, no problemo. Ubawiłem się do łez. Po godzinie mam nową oponkę i mogę jechać dalej.

Postanawiam, że wjadę na szczyt Transfogarskiej i tam się kimnę.



Niestety, kilka kilometrów przed szczytem spada grad i jakaś straszna ulewa. Zatrzymuję się w jakimś przydrożnym pensjonacie gdzie znieczulałam się piwkiem
Następnego dnia rano kołuję dalej. Wjeżdżam na Transfogarską, robię kilka fotek i spadam w dół. Kierunek Sibiu.



Przed Sibiu na rozstaju drug się zatrzymuję i postanawiam jeszcze zajechać na osławioną 67c. Nigdy tam nie byłem więc jest okazja. Dojeżdżam 100 km do rozwidlenia 7a i 67c.

Po drodze spotykam Niemców, którzy opowiadają mi o wspaniałościach oraz terenowych i hardcorowych tematach, które napotkam podczas sześćdziesięciokilometrowej drogi do Sugag.

Biorę większy oddech i w drogę. Po przejechaniu 20 km stwierdzam, że chyba coś pomyliłem. Navi pokazuje 67c. Jadę dalej.

Nie, no na bank coś pomyliłem.

Kiedyś widziałem wielki napis na jadącym samochodzie Kia "cośtamcośtam", który brzmiał: "Ludzie, nie kupujcie tego samochodu".

Ja powiem; Ludzie nie jedźcie na 67c. Mam na myśli fragment od skrzyżowania z 7a do Sugag. Pojedźcie w drugą stronę na Urdele.

Oto najtrudniejszy moment na trasie.



Droga 67c to Sugag to nic innego jak kurewsko dziurawy asfalt. Z hardcorem czy jazdą enduro ma to tyle wspólnego co kozia dupa z trąbą. Podczas 60 kilometrów może jest z 8 km po szutrze takim jak na zdjęciu.

Zły byłem na siebie jak pies. Gdyby nie ta wpadka, tego wieczoru piłbym wódkę z Podosem. A tak, pojechałem dalej. Do Oradei dojechałem pod wieczór. Zatankowałem i na Węgrzech nawet się nie zatrzymałem.

Chwilę później byłem w Miskolcu. Zacząłem się powoli przymierzać do spanka. Kilka miejsc ominąłem bo nie można było płacić kartą. W końcu gdzieś znalazłem schronienie. Do Cieszyna miałem 300km. A tak bym się napił z Podosem 🍷 Cholerna 67c. Ludzie nie jedźcie tam 🍷no chyba, że inaczej odbieracie endurzenie 🧑🏻🔧🍷🍷🍷

Rano wstałem i pojechałem. W Cieszynie byłem o 11. Podos był zbyt pijany, żeby spić ze mną poranną kawkę. Zalałem paliwko i pognałem do domu.

W Gdańsku byłem koło godziny 18.

=====
Jak mawia mój idol Forrest Gump „to wszystko co mam do powiedzenia na ten temat”
=====

Wiem, że wiele miejsc ominąłem, wiem, że powinienem zobaczyć to i zajechać tam. Inną razą. Nie da się wszędzie być 😊

Mam nadzieję, że moje wypociny komuś się przydadzą w przyszłych planach. Zajedzie tam gdzie byłem i nie zajedzie na 67c 🍷